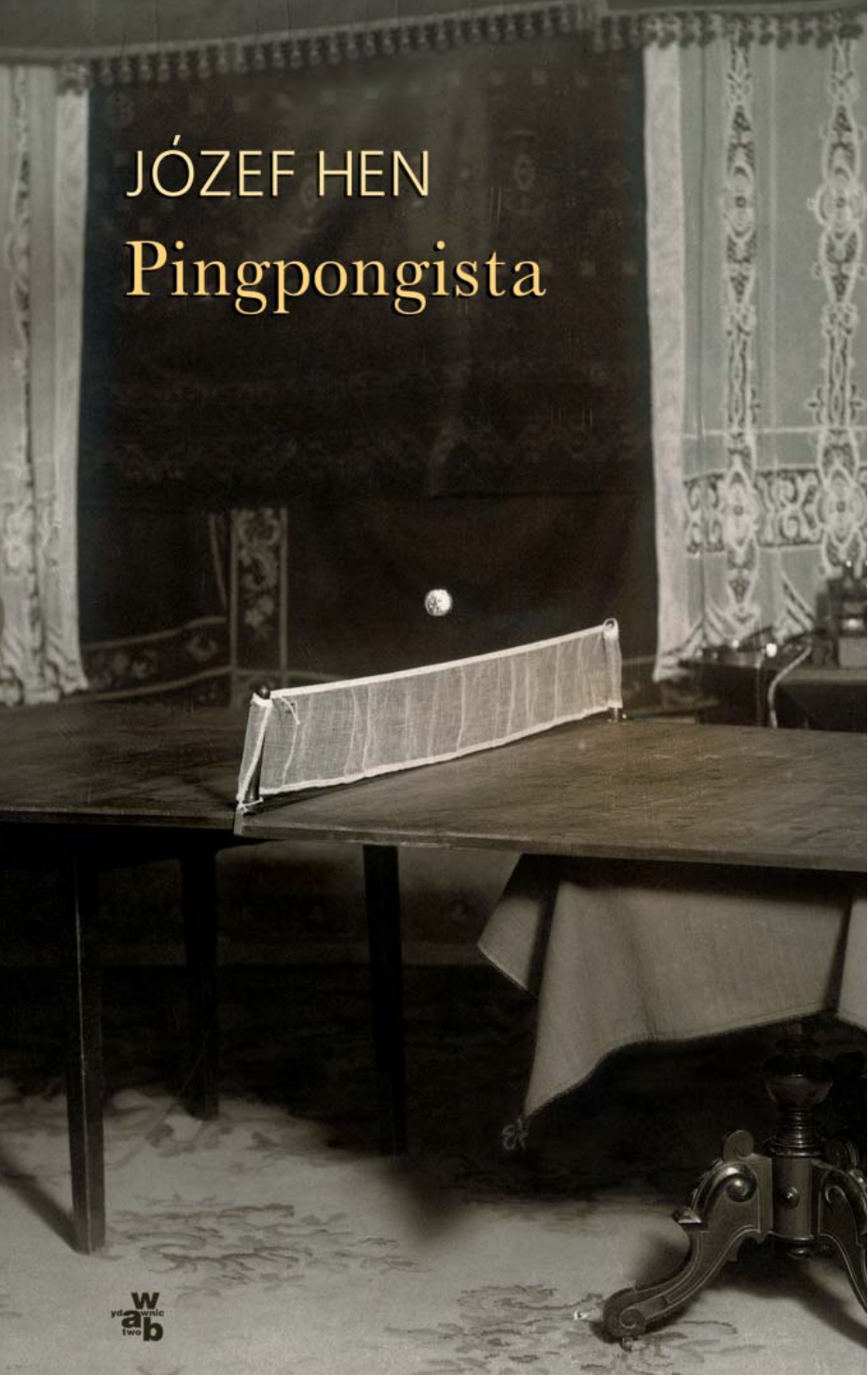


# JÓZEF HEN

## Pingpongista



JÓZEF HEN

Pingpongista

**Józef Hen** (ur. 1923 r. w Warszawie) – powieściopisarz, publicysta, dramaturg i scenarzysta. Tworzywem jego pierwszych książek stały się przeżycia wojenne: oblężenie Warszawy we wrześniu 1939 roku i późniejsza dramatyczna tułaczka w ZSRR. Tak powstały m.in. powieści *Kwiecień* (1961) i *Nikt nie wola* (napisana w roku 1957, wydana w 1990) oraz opowiadania z tomu *Bokser i śmierć* (1975). Publikował także powieści historyczne, takie jak *Crimen* (1975) czy *Królewskie sny* (1989), książki wspomnieniowe, m.in. *Nowolipie* (1991), *Najpiękniejsze lata* (1996), oraz powieści współczesne, m.in. *Milczące między nami* (1985) i *Odejście Afrodyty* (1995). Ma w dorobku książki eseistyczne, m.in. *Ja, Michał z Montaigne...* (1978) i *Mój przyjaciel król. Opowieść o Stanisławie Augustcie* (2003) oraz trzy tomy dzienników *Nie boję się bezsennych nocy* (1987, 1992, 2001). Józef Hen jest autorem scenariuszy do filmów *Krzyż Walecznych* i *Prawo i pięść* oraz seriali *Życie Kamila Kuranta* i *Królewskie sny*. Jego utwory tłumaczono na osiemnaście języków. W 2008 roku nakładem wydawnictwa W.A.B. ukazało się wznowienie głośnej biografii Tadeusza Boya-Żeleńskiego *Blazen – wielki mąż*, uznanej przez ZAIKS za najlepszą książkę 1998 roku i nominowanej do nagrody NIKE 1999.

JÓZEF HEN  
Pingpongista

Copyright © by Józef Hen, 2008  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Wydanie I  
Warszawa 2008

Już prawie zmierzchało, kiedy sędzia Mike Murphy (dawniej Michał Dembina) pojawił się, po krótkiej telefonicznej rozmowie, na plebanii w Cheremcu. Przedtem, kiedy rozejrzał się po miasteczku, w którym, jak stwierdził, niewiele się zmieniło (przynajmniej na pierwszy rzut oka), zszedł ku rzece, brnąc po kolana w bujnej trawie. Trawa się urwie wraz ze stokiem – i ja, ukryty w sitowiu, będę podpatrywał dziewczyny piorące w łukowisku Cheremu bieliznę. Spódnice miały podwinięte do kolan, woda pieniaca się od ługu oblewała im łydki, one były kijankami rozłożoną na deszczułkach bieliznę, słyszał to zaciekle postukiwanie, słyszał śmiechy dziewcząt, wiedziały, że są podpatrywane, odwracały się w stronę sitowia i wygrażały pięściami. A kiedy zbierały do kosza bieliznę i bose odchodziły, dzwoniąc śmiechem, woda w Cheremie znowu przelewała się czystym nurtem, tak czystym, że można było dostrzec piaszczyste dno i ławice umykających płotek. Cisza. Nie ma bicia kijanek, nie słyhać dziewczęcego śmiechu. Woda zanieczyszczona, ciemna, dno zapewne muliste i nurt jakby spowolniony. Ile

to lat temu opuściłem tę rzekę, wyrzekłem się jej? Pół wieku minęło? Więcej? Więcej. Nie ma już tych dziewczyn, są tylko w mojej pamięci, a jeśli któraś z nich jeszcze żyje, to i tak jest bardziej w mojej pamięci niż we własnej. Zapaliłbym. Ale nie pali już od lat – ilu? – chyba dwunastu – policzył zdziwiony.

Furtkę otworzyła mu kobiecina kulista, jak na księżą gospodynię przystało.

– Proszę za mną – mruknęła – psy uwiązane. Pan sędzia? To powiem panu, że proboszcz mówił, że pańska wizyta go cieszy. – Kiedy znaleźli się w sionce, uprzedziła: – Nie jest sam, ma gościa. Ale na pewno pana przyjmie.

Zapaliła światło i wtedy coś w wyglądzie przybysza ją uderzyło.

– Czy my się nie znamy? Pan mi kogoś... Coś w oczach. – Gość się uśmiechnął (naprawdę w oczach?) i wtedy ona wykrzyknęła: – Michaś! Michaś, dobrze mówię?

– Zgadza się.

– Jezus Maria, ty żyjesz! Nie pamiętasz mnie? No pewnie, że nie pamiętasz, to było trzydzieści kilo temu. Uczył mnie pan pływać! Podtrzymawał mnie w pasie, a palce to ci się ruszały, ja to lubiłam, nie powiem, taki ze mnie był gagatek. – Śmiech był w słowach, nie w głosie. – Michalina. Dziewczęta mnie drażniły, że jesteśmy jak para: Michaś i Michasia, pamięta pan?

– Pamiętam, a jakże, nietrudno było panią podtrzymywać, niewiele ta Michasia ważyła, a do tego, jak wiadomo, ciało kobiece zanurzone w wodzie...

– Ale na pewno nic takiego między nami nie zaszło, nic, nic – broniła się, wygrażając mu palcem jak te dziewczyny znad rzeki.

– Nie odżałuję tego – powiedział, skłaniając głowę.

– Elegancki, jak zawsze. Wiesz, że byłeś elegancki? Za to cię panienki lubiły. Nigdy brzydkiego słowa pan Michaś nie powiedział.

– Teraz mi się to zdarza. Ale tylko po angielsku i pod nosem.

Gospodyni nie zareagowała. Uchyliła drzwi i przepuściła Mike'a.

Izba była obszerna – coś między stołowym a salonikiem, oświetlenie dyskretne, ktoś mógłby rzec: nastrojowe, a ktoś inny: oszczędne. Tamci dwaj zajmowali fotele za niewielkim, okrągłym stolikiem: ksiądz Ziemowit, starowina nie do poznania, tak mu się nos wyostrzył, zgarbaciał, policzki obwisły, pod oczyma worki, spod rzadkiej siwizny przebłyskuje obsypana plamami różowość, no i ta jego kruchość, niski wzrost, a przecież uchodził za postawnego. Mężczyzna silny, wysportowany – pamiętam, jak mówili, Ziemowit na księdza się nie nadaje, kobiety się za nim oglądają, a kiedy sunie konno, można rzec: Tom Mix; a teraz... Okej, Mike, musisz się do

tych przemian przyzwyczać, przestań się zdumiewać, ciesz się, kiedy kogoś odnajdziesz, ciesz się ostrożnie, oczywiście, bo nie wiadomo, kto to będzie. Gość księdza raczej w pobliżu sześćdziesiątki, młokos, brązowy garnitur z krawatem, niemodne okulary, rysy regularne (ale nie triumfuj, człowieku, pogadamy o nich za dziesięć lat!), wysokie czoło, nad nim odrzucone do tyłu miękkie, siwiejące włosy, chyba był szatynem, na kark opadają nieporządne loki, powinien odwiedzić fryzjera – domyślałem się, że nie bardzo mu się chce i dobrze go rozumiem. Ksiądz przedstawił ich sobie:

– Doktor Gustaw Wiernik. Sędzia, sędzia... – Jak ci na imię? (Mike, odpowiedział sędzia.) Mike Murphy. Dla mnie Michał. Albo Miszka, tak czasem zwracał się do niego ojciec, prawda, Miszka? Zapamiętałem tego chłopca, bo bezbożnik. Pan doktor przybył do nas kilka dni temu.

– Na uroczystości? – spytał Mike.

Doktor był zdziwiony.

– Jakie uroczystości?

Mike już chciał wyjaśnić, ale ksiądz go ubiegł – najpierw odchrząknął i zaraz potem zaskrzypiał:

– Ach, nic, nic. To pana nie dotyczy.

– Gdzie się pan zatrzymał? – zaciekał się sędzia.

– Proszę sobie wyobrazić: we własnym domu.

– Doktor wyjaśnił: – Odziedziczyłem domek, o którym, prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia.

Wymienił adres, a Mike powiedział:

– Och, znam ten dom. Całkiem obszerny. Mieszkał w nim chłopiec, z którym byłem zaprzyjaźniony. Starszy ode mnie, powiedziałbym: mentor. Bywałem u niego często. Zapraszał mnie na ping-ponga.

– To zna pan ten dom lepiej niż ja – powiedział doktor Wiernik. – Nie mogę pana zaprosić na ping-ponga, nie ma już w tym domu stołu.

– Dziwiłbym się, gdyby był.

– Szkoda, że nie ma – powiedział pan doktor. – Wprawdzie nigdy nie byłem w tym dobry, ale sprawiłoby mi przyjemność, gdyby stół był.

– Pamiętam, że za domem był sad. Pani Ehrlichowa, matka tego kolegi, częstowała mnie pysznymi czereśniami.

– Nie ma żadnych czereśni. Żadnych drzew owocowych – informował doktor. – Wydaje się, że właściciel hodował w ogrodzie warzywa. Wszystko zarosło pokrzywami.

– Dużo się zmieniło – zgodził się Mike. – Byłem nad Cheremem, księżę Ziemowicie. Tam gdzie dziewczyny były kijankami bieliznę. Nie było dziewcząt, ulotniły się.

– Mają pralki – mruknął ksiądz.

– Rzeka zanieczyszczona.

– Koszty rozwoju – zauważył doktor Wiernik.

– Tutaj naprawdę nie wchodzi się drugi raz do tej samej rzeki. Bez metafory.

– W ogóle to jakieś dziwne miasteczko, panie sędzio, ten wasz Cheremiec. Jest w nim coś... Coś, co może niepokoić. Jakieś milczenie. Człowiek pyta, a w odpowiedzi słyszy... Właściwie co słyszy? Tylko niedopowiedzenia.

– Lepiej za dużo nie pytać – poradził Mike.

– Uśmiechnął się pan. Tu się jeszcze nikt do mnie nie uśmiechnął. No tak, pan nietutejszy.

– Może rozmawia pan z niewłaściwymi ludźmi. Moja amerykańska żona ma stale uśmiech na twarzy. Kiedy modli się – a jest pobożna – uśmiecha się do Pana Boga. Jestem pewny, że Pan Bóg odpowiada jej uśmiechem. Niech pan spróbuje porozmawiać z młodymi – na pewno będzie łatwiej o uśmiech.

– W sprawie tych pytań, panie sędzio – czy przemawia przez pana zawodowe doświadczenie?

– Z grubsza. Przysięgają mówić prawdę i tak dalej, ale w praktyce wolą uchylać się od odpowiedzi.

– Pan doktor Wiernik – ksiądz Ziemowit zmienił temat – ma pewien kłopot. Ten dom odziedziczył po stryju swojej zmarłej żony, świeć Panie nad jej duszą. Spadło to na niego niespodziewanie. Dom był jej, stryj w nim mieszkał za jej zgodą.

– Burmistrz był tak miły, że do mnie napisał: ma pan tu dom po żonie, proszę przyjechać, załatwimy to szybko, dom na pana czeka. Ale ona, moja żona,

o tym domu nigdy się nie zająknęła. Nigdy też ani słowa nie powiedziała o jakimś Cheremcu. Nie wiedziałem, że takie miasteczko istnieje.

Mike:

– Przecież widział pan chyba jakąś metrykę...

– Naturalnie. Ale nie była wystawiona w Cheremcu. Gdzie indziej. Nieważne gdzie.

Ksiądz:

– Właśnie temu zawdzięczam wizytę pana doktora. Chciał sprawdzić, czy jest jakiś ślad u mnie.

– Jest? – spytał Mike.

– Jest. Chrzcilem ją i zapisałem. Jadwiga.

– Jadwiga Snopek – uzupełnił doktor Wiernik.

– Ojciec Jan Snopek. Wszystko się zgadza. Tylko nie miejsce urodzenia.

– Czyli tamta metryka, ta, którą pan widział, była fałszywa?

– Fałszywa – potwierdził pan Wiernik. Poderwał się z fotela. Teraz mówił, chodząc, czasem gestykulując nerwowo. – Dlaczego? Mówiła, że jest sierotą! Że wychowała się u sióstr nazaretanek. Zadzzwoniłem do klasztoru, zawiadomiłem o jej śmierci, podziękowałem za naukę, internat, za hojność – siostry, mówię, zaopiekowały się ubogą dziewczyną, umożliwiły wykształcenie sierocie – nie była uboga, usłyszałem, nie była sierotą, wszystko miałyśmy należycie opłacone. Już to mnie zdziwiło. Kto płacił? Jak to? Pan nie wie? Ojciec. Nigdy nie mówiła mi

o ojcu. Sierota. Pogrobowiec. Jak ja, nawiasem mówiąc. Matki też rzekomo nie pamiętała. Może i nie pamiętała. Już nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Mike ośmielił się zapytać:

– Czy spostrzegł pan w małżonce jakieś skłonności?...

– Doktor Wiernik raptownie przystanął.

– Ma pan na myśli mitomanię? Nie, nie. Na nic takiego nigdy się nie zanosilo. Cudowna, prawdómówna, czuła osobowość. Nawet kiedy dopadła ją nieuleczalna choroba. Ona zawsze... – Przetarł chusteczką oczy. – Przepraszam. Dwa lata minęły, a ja wciąż nie potrafię się otrząsnąć. – Opadł na fotel, jakby siły zeń uszły. – Nie rozumiem, co się stało. Kiedy kobieta kłamie...

Ksiądz podsunął mu filiżankę z wystygłą herbatą. Doktor przez chwilę pił, potem powiedział, najwyraźniej siląc się na spokojny ton:

– Kiedy kobieta kłamie, to zwykle chodzi o mężczyznę.

Ksiądz i Mike milczeli.

– O romans – mówił dalej pan Wiernik. – Coś, co chciała pokryć zapomnieniem. Zmianą osobowości. Ale to może trwało, wciąż trwało – bo czasem były jakieś wyjazdy, z których nie chciała się tłumaczyć. Oszukiwała mnie, a mówiła: musisz mi ufać. I ja ufałem. Bo wydawała mi się – wiem, że to głu-

pie, kiedy mężczyzna tak mówi o żonie – wydawała mi się nieskazitelna. Kryształowa.

– Może była nieskazitelna i kryształowa – powiedział Mike i wcale nie po to, żeby pocieszyć tamtego.

– Tak pan sądzi?

– Żaden romans nie wymaga fałszywej metryki. Mogło chodzić o coś innego.

– Ale o co?

– Nie wiem – odpowiedział Mike. I pomyślał: nie powiem ci. – Na pewno rzecz się po pewnym czasie wyjaśni.

Ksiądz przytakiwał:

– Niech pan słucha sędziego, panie doktorze, to człowiek, który z niejednego pieca...

– Każdy zjadł swoje. – Doktor Wiernik dźwignął się z fotela. – Nie będę księdzu czasu zabierał. Panowie mają na pewno wiele do powspominania.

Obiecał się odezwać. Miło było pana poznać. I mnie pana. Wszystko się wyjaśni, ale na jego miejscu nie śpieszyłbym się z tym. Przy drzwiach doktor Wiernik zatrzymał się.

– A wie pan, ten stryj mojej Wisienki to był niezły bibliofil. Niech pan mnie odwiedzi, może coś pana zainteresuje. Stołu nie mam, ale obaj wyrosliśmy już z tego uganiania się za piłeczką. Jest za to sporo świetnych starych książek. Tuwim, Conrad, Boy,

Galsworthy. Rosyjska klasyka w oryginale, w starej pisowni. Erudyta.

Mike zaśmiał się.

– Och, chyba nie. – Zastrzegł się: – O ile go pamiętam. To muszą być książki dawnego lokatora.

– Pańskiego kolegi?

– Jego ojca. Pan Ehrlich był felczerem. Pamiętam, że czytał zachłannie. I chętnie wciskał ludziom książki – mnie też. Dzięki niemu i ja coś przeczytałem.

Doktor Wiernik stał u drzwi, kiwając w zamyśleniu głową. Dopiero po chwili wykrztusił: „No to do widzenia”, i wyszedł. Ksiądz Ziemowit zadzwonił na gospodynię.

– Michasiu, córciu, poczęstujemy pana sędziego kolacją. Pochwal się. Ona, Miszka, świetnie gotuje, tylko co mi z tego, kiedy ja już nie mogę jeść. Żywię się głównie kaszą manną. Ale pić – pić to mogę. – Ksiądz nalał z karafki do kieliszków ciemnej nalewki. – Smorodinówka – obwieścił i mrugnął porozumiewawczo.

Przez chwilę smakowali cierpkość i zapach nalewki. Ksiądz spytał:

– Domyślam się, że przyjechałeś na uroczystości?

– Podjąłem się nawet pomóc w ich organizowaniu. Chcę namówić cheremczan, żeby się stawili.

– Nie wiem, czy ci się uda.

– Jeśli ksiądz pomoże...

Ksiądz siorbnął trochę nalewki. Spytał:

– Dlaczego ci tak zależy?

– Bo obiecałem.

– Temu chłopcu, z którym grywałeś w ping-ponga?

– Tak, Zydze Ehrlichowi. Pamięta go ksiądz?

– Był dobry?

– Dużo lepszy ode mnie. Ale ostatni raz to ja wygrałem.

(Wyciągnąłem go ze stodoły, w której miano ich spalić, nie chciał iść – krzyczał, że matka – mama, mama! – matka została, puść mnie! Ciągnąłem go ze sobą, jakaś nadludzka siła wstąpiła we mnie – uciekaj, uciekaj! ratuj się! Wpadliśmy w żyto, przedzieramy się, kaleczymy sobie twarze – i nagle wrzask: Stój, stój do cholery! Ty, Michał, stój! Padnij! Waldek Butrym, ten bandzior, ten... Stoi nad nami ze strzelbą. Padnij – wrzeszczy – słyszeliście! Padamy. A on: Ty czego z tym Żydkiem? Panie Butrym, to przecież Zyga Ehrlich, pan go zna, syn felczera. Znam, no to co, Polska dla Polaków! I do Zygi: Gdzie twoje pejsy, Zelik? Nie mam pejsów – na to Zyga dziwnie spokojnie – nigdy ich nie miałem. Co ty, w Boga nie wierzysz? Żyto tratujecie! A ty, Michaś, czego go za sobą ciągniesz? Po co ci on? Staram się i ja udawać spokój: – Bo wygrałem z nim w ping-ponga. – Wygrałeś, to dobra nasza! – I obiecałem mu rewanż.

– Wygrałeś, to jesteś lepszy i skończona sprawa. – Nie, panie Butrym, on jest lepszy. On jest najlepszy. Najlepszy w Polsce! – On? – Tak, on. – Zobaczymy. Waldek strzelił dwukrotnie. Przyjrzał się martwemu Żydze. – Fertig – powiedział. – Teraz ty jesteś najlepszy.)

– Obiecałem mu rewanż – powiedział Mike.

Ksiądz pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Przyjechałeś tu, żeby nas sądzić?

– Jestem na emeryturze. – Nie była to całkowita prawda, Mike nie śpieszył się do bezczynności.

– Niech ksiądz się pomodli, żeby nie było ulewy.

Ksiądz uśmiechnął się.

– Prognozy zapowiadają upał. Powietrze suche – jak wtedy, kiedy stodoła się paliła. Ten Butrym, najstarszy z braci – ilu ich było? (czterech, podpowiedział Mike) – tak, czterech – ten, który zabił twójgo przyjaciela, Waldek, on czasem przynosił na plebanię upolowane pokryjomu kaczki. – Ksiądz przyglądał się kieliszкови z nalewką. – A ja brałem. – Z westchnieniem: – Brałem. – Znów chwila milczenia. – Z tym charakterem. Myślę... że to właśnie jest najtrudniejsze... Coś zwalczyć w sobie.

– Ksiądz próbował?

– Daj spokój z tym księdzem. Jaki tam ze mnie ksiądz! Uczynisz mi łaskę, mówiąc do mnie po imieniu. Ziemowit, Ziemek... – Stuknęli się z udaną ceremonialnością kieliszkami. – Niech ci się powiedzie.

Ta nalewka to robota Michasi. Wysłuchaj jej, jeśli zechce ci się otworzyć. Ma sporo do powiedzenia. Ale mów o sobie. Ukończyłeś prawo?

– W Columbia University. Przyznano mi stypendium – niech ksiądz się nie śmieje – sportowe.

– Za ping-ponga?

– Śmieszne, prawda? Zrobił się modny, kiedy Chińczycy wystąpili z inicjatywą tak zwanej dyplomacji pingpongowej.

– Coś takiego było – przypomniał sobie ksiądz Ziemowit.

– Sądziłem w Brooklynie. – Mike wyliczał, zaginając kolejne palce, aż wreszcie dał spokój, bo ich nie starczyło. – Narkomani, dilerzy, prostytutki, drobne kradzieże, naciągacze, kleptomanki, obsesyjni erotomani, nerwowcy, nadpobudliwi maniacy, dobrotliwi paranoicy, bójki małżeńskie, hetero- i homoseksiści, rozwścieczeni rozwodnicy. Sekciarze, rasiści i antyrasiści jednakowo opętani, feministki i męscy szowiniści, ekolodzy za i przeciw, despotyczni wegetarianie i fruktojady, przeciwnicy aborcji i wyznawcy prawa kobiety do swojego brzucha. Ludzie, którzy opętani są manią naprawiania świata, czyli w zasadzie dobrzy, ale groźni przez to, że znają niezawodną receptę, tylko oni ją znają, z patologicznym brakiem tolerancji dla poglądów odmiennych. Nieszczęsne ofiary własnych słabości.

– Dawałeś sobie radę?



Jest rok 2001. Mike Murphy, sędzia z Brooklynu, przyjeżdża z oceanu do rodzinnego Chereemca, żeby wziąć udział w odsłonięciu pomnika zamordowanych tu przed sześćdziesięciu laty Żydów. Wówczas, jako czternastoletni Michaś, usiłował uratować z rzezi swojego przyjaciela, z którym grywał w ping-ponga. „Obiecałem mu rewanz”, tłumaczył goniącemu ich oprawcy. Nie pomogło. Padł śmiertelny strzał. Mądrzejszy o życiowe doświadczenie i praktykę sędziowską Mike umie słuchać i, kiedy czuje się bezradny, odstąpić od dochodzenia. Nie żywi już nienawiści do zabójców. I chociaż zbrodnia jest odrażająca, zbrodniarze wydają mu się komiczni. Mimo obciążającej sumienia tragicznej pamięci książka Józefa Hena zwrócona jest ku przyszłości, ku zieleni życia, ku pogodzie i uczuciom, zarysowanym w sposób delikatny i nie bez humoru. „Czego tu szukasz?” pyta Mike'a jego nowy przyjaciel. „Zwyczajności” brzmi odpowiedź.



cena 34,90 zł